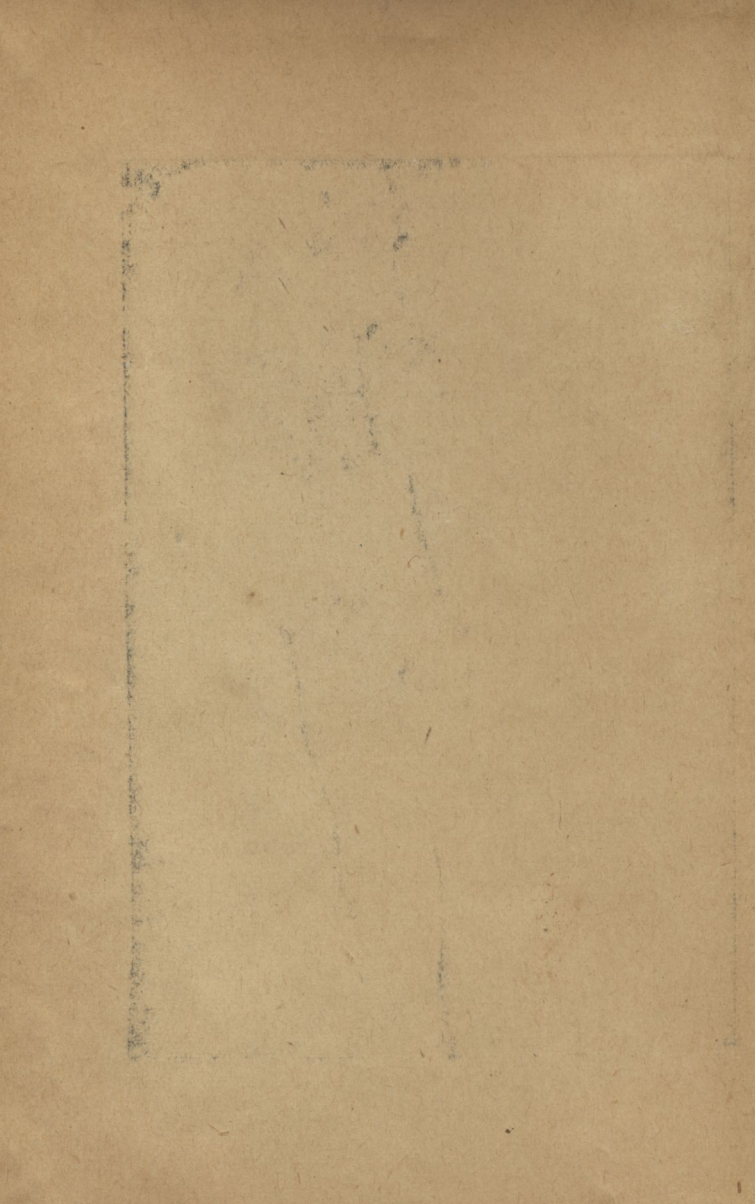


Politechnika Krakowska
Biblioteka Glowna



100000055273







O STANISŁAWIE WITKIEWICZU

Stanisławowi Witkiewiczowi
Głównemu
pne inżynierowi ze sekcji Ochrony Tatr
w tam Tadeusz Konecny

Kraków 28. IX. 16.

TADEUSZ KORNIŁOWICZ

O STANISŁAWIE WITKIEWICZU

PIERWIASTEK WALKI W TWÓRCZOŚCI I DZIAŁALNOŚCI WITKIEWICZA: JEGO STOSUNEK DO SZTUKI I ŻYCIA, OCENA WARTOŚCI ETYCZNYCH, POGLĄD NA ZAGADNIENIA ŻYCIA NARODOWEGO W POLSCE, NA URZECZYWISTNIENIE IDEI ŻOŁNIERSTWA POLSKIEGO.

K R A K Ó W — 1 9 1 6



41737

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE
NAKLADEM AUTORA - SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘ-
GARNI G. GEBETHNERA I SKI W KRAKOWIE -
WARSZAWA - GEBETHNER I WOLFF.

Nie będąc malarzem, ani też literatem, mówić i pisać o Witkiewiczu — to zadanie, którego ryzykowność uświadamiam sobie doskonale. Sądzę jednak, że mundur, który noszę, dostatecznie usprawiedliwia mój brak wahania się w tym względzie. Upoważnia mnie do tego mianowicie stosunek Witkiewicza do Legionów, których jestem szeregowcem.

Walka zbrojna o Polskę była najserdeczniejszą jego tęsknotą, wobec której malały wszelkie inne wartości życia. Poprzez natchnienia sztuki, poprzez zachwyty nad przyrodą, poprzez zagadnienia etyczne i społeczne, poprzez uwielbienie dla kultury ludzkiej i miłość dla człowieka, przypominającą prostotę pierwotnych chrześcijan, poprzez radości i smutki — przebija się przez życie Witkiewicza jedna melodia, wobec której milknie wszystko inne:

CO NAM OBCA PRZEMOC WZIĘŁA
MOCĄ ODBIERZEMY!

Wybickiemu, według Witkiewicza, należy się za tę pieśń pomnik bardziej, niż komukolwiek innemu w Polsce — gdyż pieśń ta stała się czynem, twórczością całego narodu przez stulecie.

Dla Witkiewicza bowiem nie istnieje przyjęta granica pomiędzy „sztuką“ a „życiem“:

Wszelka twórczość jest pokonywaniem bezwładu materji przez lotny pierwiastek ludzkiego ducha...

Niekiedy amarantowy rabat ulański i czapka z różnobarwną kitą wcielają w sobie całe piękno i starczą za obrazy i posągi, — wtenczas sztuka istnieje w samych ludziach, którzy na teatrze życia odgrywają swoje role i dostarczają tak obficie tych wzruszeń, których innym razem dostarcza sztuka, że ludzie nie odczuwają głęboko jej potrzeby.

W jednym z ostatnich swoich listów z Lovrany do siostry tak pisze Witkiewicz o sobie:

Czuję się zawsze żołnierzem z pod komendy Piłsudskiego i to rozjaśnia mi życie.

Oto punkt wyjścia mojego odczytu. Zamierzam z tego stanowiska rzucić okiem na całą twórczość Witkiewicza i cytatami z jego pism uzasadnić twierdzenie, że słowa powyższe nie były chwilowym nastrojem chorego, oddalonego od kraju człowieka, lecz niezłomną konsekwencyą całego, jak bryła granitu jednolitego życia. — Dla poparcia tej metody przytoczę następujące zdanie Witkiewicza:

Twórczość artystyczna jest tak zależną, tak ściśle związaną z organizacją artysty-człowieka, że patrząc na obrazy, rzeźbę, architekturę, czytając poezję lub słuchając muzyki, można z charakteru dzieł odbudować moralną fizjognomię, lub odnaleźć pewne wskazówki co do psychicznych właściwości ich twórców,

Metody cytat trzymać się będę w całym odczycie. Gdy mnie ktoś czynił zarzut zbytniego ułatwienia sobie zadania, twierdząc, że, zamiast mówić o lesie, prowadzę ludzi do lasu, by go im pokazać, uchwyciłem się tych słów, jako najlepiej wyrażających mój zamiar: zaprowadzenie kogoś do lasu uważam za właściwszy sposób zaznajomienia go z lasem, niż najdłuższe o nim mówienie.

Wojna polska, wojsko polskie, żołnierz polski — są to wyrazy budzące najgłębsze pokłady duszy Witkiewicza. Mickiewicz, Słowacki, Pamiętniki Paska, Niewola tatarska, Trylogia, Popioły — należały do najulubieńszych jego książek. Kochał Tolstoja, jako pokrewną sobie duszę, — jednak poglądy Witkiewicza na polskie narodowe życie stanowią przeciwieństwo tej idealizacji bierności, którą przypisują powszechnie pojęciom Tolstoja o „niesprzeciwianiu się złu“. Raczej Heraklitowskie pojęcie walki, jako źródła wszystkiego na świecie, odpowiada tonowi duszy Witkiewicza.

Sam styl jego polemik ma w sobie coś ze szczęku oręża.

W przedmowie do ostatniego wydania „Sztuki i krytyki u nas“ — pisze Witkiewicz:

Książka ta jest historią walki o niezależne stanowisko sztuki w dziedzinie ludzkiej myśli i niezawisłość indywidualności w sztuce. Jest ona nie tylko

historią — ona sama jest jedną wielką bitwą. Każdy jej wiersz, każda stronica, są napaścią, lub odbiciem ataku przeciwnika... Bezwzględność, z jaką walka została podniesioną przezemnie, wykluczała wszelkie kompromisy. Od pierwszego słowa znać było, że to jest walka na śmierć... Matejko, Siemiradzki, Chełmoński, Kurzawa, Brozik i t. d., były to kolejne hasła pojedynczych bitew.

O cóż Witkiewicz walczył z takim szalonym impetem? Co było treścią tych jego polemik o sztuce? Oto następująca, zwięźle przez niego ujęta zasada:

O wartości dzieła sztuki stanowi nie ta lub owa idea, w imię której zostało ono stworzone, lecz siła talentu jego twórcy.

A więc w sztukach plastycznych, nie wartość literacka podpisu pod rzeźbą lub obrazem, lecz logika kształtu, barw i światłocienia.

Ja nigdy nie występowałem przeciwko świetnym pomysłom, ja tylko występowałem i występuję przeciwko świetnym podpisom pod lichymi obrazami i przeciwko braniu tych podpisów za wartość artystyczną dzieła sztuki.

Na tem polega całe nieporozumienie w polemice o Matejkę. Błędem jest, jakoby Witkiewicz w późniejszym wieku „poszedł do Kanossy“ i cofnął zarzuty stawiane Matejce w latach młodości. Ogromne uwielbienie, jakim Witkiewicz zawsze otaczał Matejkę za jego Skargę, Rejtana, Hołd pruski, za je-

go niezrównaną indywidualizację typów i wyrazów twarzy, nie przeszkadzało mu bynajmniej oceniać krytycznie jego techniki malarskiej, a nadewszystko rąbać sprawozdawców dziennikarskich, którzy wzniosłość tematów „mistrza“ uważali za dostateczny argument przeciwko krytyce ze stanowiska wyłącznie malarskiego.

Matejko miał wiele wad, których unikają nawet średnie talenty, ale miał jedną bezwzględną zaletę — tworzył arcydzieła.

Oto stały pogląd Witkiewicza na Matejkę od pierwszego o nim artykułu do ostatniego wydania słynnej o nim monografii. To, że Witkiewicz miał odwagę widzieć wady nawet w arcydziełach, stanowi o jego ogromnej wszechstronności umysłowej, uwydatniającej się w każdej dziedzinie życia.

Jako krytyka, Witkiewicza zaliczano do realistów, a nawet, jak się wyrażano, do „niezdrowych realistów“. W istocie, był to człowiek o niezmiernie żywym poczuciu rzeczywistości, umysł analityczny, rozpatrujący każdy szczegół otaczających zjawisk ze ścisłością badacza naukowego. Stąd jego kult dla nauki, a nienawiść i pogarda dla literackiego frazesu, zarówno w sztuce jak i w życiu codziennym. To też opinia o Witkiewiczu jako o „szlachetnym marzycielu“ w znaczeniu t. zw. donkiszoteryi — nie wytrzymuje najmniejszej krytyki.

Przytoczę, dla przykładu, tak popularne dziś uty-

skiwania nad przeidealizowaniem przez niego góralskiej ludności pod Tatrami. Otóż, w książce wydanej przed 25 laty, w pierwszym wydaniu „Na przełęczy“ — tej ewangelii Tatr i Podhala, w której najsilniej może ze wszystkich książek polskich wytrysnął entuzjazm i zachwyty nad rasą góralską — obok optymistycznych poglądów, znajduje się następująca charakterystyka tej ludności:

Wartość moralna górali została przecenioną przez tych, którzy pierwsi zaczęli żyć z nimi bliżej... Górale przeciętnie są mało serdeczni, — bezinteresowność i wdzięczność nie są przymiotami, przeważającymi w ich naturze. Natomiast nadzwyczajna jej giętkość i sprężystość robi z nich ludzi niezwykle towarzyskich, z łatwością stających na każdym punkcie widzenia, siadających na każdym stolku. Inteligencya, spryt, i owa przytomność umysłu, dzięki której góral zawsze znajdzie w porę odpowiedź, nigdy nie szuka w torbie konceptu, wykręca się zręcznie z trudności towarzyskich — nadają im pozory, na które łapie się każdy człowiek serdeczniejszy i oddaje im swoje sympaty bez zastrzeżeń.

W dwanaście lat potem, w „Bagnie“, takie znajdujemy uzupełnienie tej charakterystyki:

Górale mają na ogół mało odwagi cywilnej, mało ochoty i potrzeby do jasnego i stanowczego przeciwstawienia swego przekonania czyjemuś przeciwnemu zdaniu, brak im zmysłu do otwartej, jawnej i sta-

nowczej krytyki jakichś czynów i zdarzeń. Właściwość ta, z której wynikają ich mile przymioty towarzyskie, nieraz jednak, przy spełnianiu jakichś obywatelskich obowiązków, przy organizowaniu się stronnictw lub przeprowadzaniu prac zbiorowych, bywa przyczyną zamętu, rozprężenia i niespodziewanie ujemnego skutku najlepiej obliczonych działań.

A później jeszcze, w przedmowie do nowego wydania na „Przełęcz”, zatytułowanej „Po latach” — taką jeszcze znajdujemy uwagę:

Jeżeli polityka jest środkiem symulowania myśli, uczuć, chęci i celów, środkiem wykrętnego uchylania się od zdradzenia swoich istotnych zamiarów, jeżeli jest unikaniem jasnego i otwartego stawiania swego stosunku do innych ludzi, — w takim razie góral jest politykiem do ostatniego włókienka.

Przytoczyłem te rozważania, jako dosadny przykład trafności sądów Witkiewicza, jego trzeźwości myślenia i poczucia rzeczywistości. Rzadko zdarza się umysł tak wszechstronny, tak pełen dobrej woli zrozumienia przeciwnego stanowiska. Jego teza i antyteza są nieraz od siebie tak odległe, że syntetyczne ich ujęcie jest dla wielu nie do zrozumienia. Ludzie tak się lubują w nalepianiu na wszystko etykiet, w podziale charakterów na białe i czarne — jak w pseudoklasycznych dramatach, — w partyjnym wyłącznie sposobie pojmowania życia publicznego, tak powszechnie mają zmanierowane upodobania

i sądy w każdej sprawie, że nie rozumieją, jak może istnieć ktoś, kto ma własny sąd, wyłamujący się z pod przyjętych klasyfikacji.

Psychologiczne obserwacye Witkiewicza są niezównane przez doskonałą spostrzegawczość i umiejętność odczucia sprzecznych nieraz zupełnie indywidualności. Potrafił on zrozumieć i odczuć psychikę ludzką na rozmaitych szczeblach ustroju społecznego, i ta właśnie cecha pokrewną mu była z Tolstojem. *Powszechnem jest mierzenie wartości człowieka nie tem, czem on jest, lecz tem, co on posiada*, stwierdza Witkiewicz — i tak charakteryzuje Sabalę:

Sabala należy do ludzi, których wartość jest niezawisłą od nabytych z zewnątrz bogactw, znaczenia lub nauki, — to, co stanowi jego wyższość, jego istotną wartość, leży w nim samym, w szczególnej, wyjątkowej, oryginalnej budowie jego natury.

Takie stawianie kwestyi, do którego ludzie naogół nie są przyzwyczajeni, stanowiło o pociesznych nieraz nieporozumieniach. — Niezapomnę nigdy wesołości prawie dziecinnej z jaką Witkiewicz wspominał zachwyty komiczny pewnego literata, który, złożwszy ręce, z wniebowziętymi oczyma, oznajmiał mu, że i on „miał szczęście widzieć raz Gandarę“. Tego Gandarę „sietniaka“, gryzionego przez wszy, przepędzanego z chaty do chaty, wyśmiewanego przez gazdów, koło którego niejednen „inteligient“

przeszedł bez zwrócenia nań uwagi — tego Gandarę, którego badawczy umysł Witkiewicza uwiecznił w literaturze, jako motyw cennych rozważań psychologiczno-społecznych, nagle ktoś czci nie przez zrozumienie jego istotnej wartości, lecz przez to tylko, że miał on okazję wystąpienia w literaturze!

Dusza ludzka w swojej zasadniczej treści jest jednaka, we wszystkich warstwach społeczeństwa. Na najwyższych i na najniższych szczeblach hierarchii społecznej władają ludźmi te same uczucia, dążenia i pożądanja, a najbiedniejszy obdartus różni się od najpotężniejszego arystokraty tylko cienką warstwą zewnętrznej powłoki, wytworzonej przez nieraz czysto materyalne wpływy warunków życia.

Tak zaczyna Witkiewicz swoje studjum o Gandarze. Temat właściwie psychiatryczny: po silnem obrażeniu czaszki podczas bitki pomylił się Gandarze świat. Stracone nagle gazdowstwo w Murzasichlu rozrosło się w jego wyobraźni do całego obszaru dóbr zakopiańskich, które wcześniej czy później będą mu zwrócone. Z tą rozdwojoną wyobraźnią żył i pracował dumnie, nie tracąc fantazyi.

Wszyscy ludzie mają takie gazdowstwo w Murzasichlu, wszyscy żyją nie tem, co mają, tylko tem, w co wierzą, że mieć mogą. Nietylko jednostki — narody całe żyją taką myślą o idealnej ojczyźnie...

Ludzie czekają, aż będą mogli czcić trociny pozostałe z promiennych niegdyś myśli i uczuć, cenić

zdrowie, które pozwoliło człowiekowi dożyć do — sklerozy... Gdzie są ci, którzy, uprzedzając upadki, nędze, zbrodnie, starają się sięgnąć do dna dusz, odnaleźć i ocalić nietknięte jeszcze rozkładem pierwotne siły ludzkiej istoty, siły, które dzisiejsze ustroje społeczne, na własną szkodę, wpędzają w podziemia bytu i zmuszają do walki z sobą, lub druzgocą i zsypują w doły, cuchnące poniżeniem. Ludzie czekają, aż będą mogli czynić dobrze i sądzić sprawiedliwie... ratować „upadłe“ kobiety, dawać przytulki kalekom i niedołęgom, sadzać do więzień zbrodniarzy... wogóle, aż przebieg życia, to jest wypadkowa ścierania się siły jednostki z warunkami zewnętrznymi, wskaże im to, co im się wydaje wartością człowieka...

Jak górski wodospad ma swoją treść i wartość, niezależną od tego, czy siły spadku jego wód użyto do obracania żaren młyna, pil tartaku, induktorów dynamo-elektrycznej maszyny, lub zostawiono ją własnemu przeznaczeniu, podobnież człowiek ma swoją treść i wartość, to jest pewien stopień napięcia energii wszystkich, stanowiących jego istotę władz i przymiotów, niezależnie od tego, czy ta energia wprzagnięta jest w służbę interesów społecznych i ujawniona w pewnym wyniku czynu...

Któż się pokłoni ludzkiej duszy, która się tuli przyodziana w potargane katanisko, pokalane gnojem portki i zdarte kierpcyska, kto naprawdę myśli, że to ta sama dusza w panu, który codzień zmienia ko-

szulę, i w Wojtku, którego „wsy źrejom“? Gdzie są ludzie, którzy zbliżają się do jednego i do drugiego z tą samą ufnością — lub z tem samem uprzedzeniem? Kto się dosłucha głosu wspólności ich dusz, w Wojtka myśli, idącej swemi drogami z prawiecznych ostępów ludzkiego bytu, w jego mowie, płynącej prastaremi łożyskami wiecznie żywego symbolizmu, powstającego przy każdym zetknięciu się umysłu ze zjawiskami życia? Takich, którzy naprawdę o tem wiedzą, jest jeszcze strasznie mało...

Na ogół, chłop oglądany jest albo z głupkowatym uśmiechem, jak coś zabawnie ciekawego, albo też z niedowierzaniem, nawet ze strachem, gdy z mas ludowych „błyśnie w ognjach twarz człowieka“...

Człowiek! człowiek! — oto co trzeba widzieć w chłopie i w panu, żeby stracić mnóstwo złudzeń i zyskać wiele nadziei. Traci się złudzenia, ponieważ wtenczas odpadają wszystkie arystokratyczne i demokratyczne uprzedzenia tłumów, a zyskuje się nadzieje, ponieważ widzi się iskry dobra, błyskające po wszystkich duszach, błyskające tymczasem, jak błędne ogniki, ponieważ dusza jest to ta część człowieka, którą się właściwie ludzie prawie nie zajmują, która, wśród chaosu zdarzeń, gór przeciwności i mroków błędu i niepewności, walczy o zdobycie świata, o przepromienienie życia...

Jednym z pewników, których uczy historia, jest, że rozstrzygającym czynnikiem życia zbiorowego nie

są formy urzędzeń, instytucye, tylko jest stan dusz ludzkich danego społeczeństwa. Nic nie pomoże najdoskonalsza ustawa, najstaranniej obmyślany ustrój, jeżeli materiał ludzki jest lichy, jeżeli etyka i umysłowość jednostek, stanowiących społeczeństwo, stoją nisko. Rozprawy parlamentów, przebiegłe kombinacye polityków, wysiłki ministrów — wszystko to w dniu stanowczym okazuje się niczem, ponieważ pozatem niema dobrych obywateli. Przeklinane *Liberum veto* Nietzsche uważa za jeden z najszczytniejszych objawów zbiorowego życia — i słusznie, tylko trzeba było, żeby go używali inni ludzie, niż owocześni obywatele Rzeczypospolitej...

Oto są myśli, które naraziły Witkiewicza na tytuł „marzyciela“. W tym jednak znaczeniu nie jest to epitet ubliżający, gdyż nie koliduje bynajmniej z doskonałem poczuciem rzeczywistości. — Rozmaitą jednak bywa interpretacya tej „rzeczywistości“. Sprawy psychiczne, jak: stany świadomości, napięcia uczuciowe, są taką samą rzeczywistością, jak zachodzące w organizmie stany fizyologiczne, — a jednak są ludzie, których trzeźwość polega na tem, że wszystko, co nie jest związane z przemianą materyi, uważają za rzecz „nierealną“.

Ludzkość przeżywa teraz chwilę takiego obniżenia się poziomu zbiorowego życia, takiego wytrzeźwienia z idealizmu, to znaczy z wiary w lepszą

przyszłość, takiego uznania każdej podłości, która ma siłę i powodzenie, że ludzie tylko lichsze strony swojej natury zaczynają uważać za rzeczywiste i potrzebne...

Jeżeli chcemy wyjść z tego, to znaczy: jeżeli chcemy istnieć, trzeba świadomość narodową złączyć nierozdzielnie z najwyższymi pojęciami etyki, trzeba podnieść cały poziom życia, trzeba każdą jednostkę przepoić wyższymi dążeniami i bezwzględnie oddaniem się dobru społecznemu — „Rzeczypospolitej, która jest i powinna być wieczna i nieustająca“...

Tak pisze Witkiewicz w „Bagnie“.

A dawniej jeszcze, w „Sztuce i krytyce“ tak pisał na ten sam temat:

Jednym ze stale powtarzających się objawów naszego życia społecznego są ciągle zawody, które nas spotykają w każdej publicznej sprawie — zawody, wynikające z nieświadomości sił własnych i fałszywej oceny znaczenia pewnych idei, ludzi, instytucji — całych klas społecznych.

Nasi „mężowie zaufania“, nasze hasła społeczne i polityczne, nasze filary tradycji narodowych, nasze podwaliny materialnego bytu, wszystko to w chwili stanowczej próby okazuje się zlepkiem gipsowym, zrobionym naprędce, na jeden dzień galowy i pogodny. Dostyc, by przez nie przeszła jedna słota, żeby z pod ściekających sopli gipsowego tynku pokazało

się rusztowanie ze zgniłych desek i stare szmaty ściepek, z których były zrobione wspaniałe draperye.

Jeżeli wogóle to, co się nazywa opinią publiczną, jest siłą bardzo wątpliwej wartości, to u nas, wskutek przyczyn natury historycznej i tych warunków bytu, jakie nam dziś stwarzają siły i wpływy zewnętrzne — opinia publiczna jest tylko wyrazem jakichś podrażnień nerwowych, chwilowych stanów psychicznych, pozbawionych samowiedzy celów, dążeń i środków.

Dobrze zorganizowana przez dzienniki reklama, w ciągu paru tygodni jest w stanie stworzyć wielkie charaktery, nadzwyczajne talenta, nieogładane dotąd arcydzieła i zbawców społeczeństwa.

Te kilkanaście tysięcy ludzi, którzy czytają dzienniki, przyjmują stylowe zwroty za fakta, bez żadnej krytyki, bez kontroli, i z tego powstaje opinia publiczna. Utrzymuje ona na świeczniku wielkich mężów, wielkie czyny i wielkie sprawy; — ponieważ jednak w samych tych ludziach, czynach i sprawach niema istotnej siły i wartości, giną one nadzwyczaj prędko, zostawiając, jako jedyny ślad swego przejścia przez życie społeczne — nowe bankructwo opinii publicznej...

Większość naszej prasy odznacza się nadzwyczajną tchórzliwością, społeczeństwo też przywykło do czytania prawdy między wierszami, do zatykania uszu bawelną, do omówień, do dawania do zrozu-

mienia, do tych wszystkich sposobów porozumiewania się, używanych przez ludzi pozbawionych temperamentu i osobowości, i przez towarzystwa, w których bardziej ceniona jest bezbarwna przyzwoitość, niż siła przekonań.

To też dziś społeczeństwo i prasa boją się każdej myśli, wypowiedzianej bez półsłówek, każdego śmiałego zdania. Jest ona jak człowiek, który tak przywykł podpatrywać przez dziurkę od klucza, że nawet kiedy ma drzwi otwarte na rozcież, stara się wynaleźć szparkę, przez którąby najmniej światła się przedostawało...

Spółeczeństwo powinno rozumieć, że postęp, zatem jego życie, warunkuje się tylko porywami szczególnych jednostek, które nie godząc się na dany stan cywilizacyi, rzucają w nią swoją myśl oryginalną, czucie i wysiłki czynu. Spółeczeństwo powinno wiedzieć, że jeżeli tylko działalność człowieka nie jest ujemna, jeżeli jego hasła i cele są dodatnie w jakimkolwiek zakresie ludzkich praw i potrzeb, że człowiek taki i jego działalność są zawsze pożyteczne, chociażby w danej chwili były pozornie bez zastosowania. Z drugiej strony, społeczeństwa i jednostki powinny umieć czcić geniusz w dziecku i rozpoznawać siłę dodatnią, chociażby ona nie przejawiała się jeszcze w zupełności, rozpoznawać i ujmować ją, nie rozpraszać, nie niszczyć, nie rzucać na pastwę bezpłodnej rozpaczy i zwątpienia. Spółeczeństwa i jednostki mu-

szą mieć tę niezachwianą nieustraszoną i niewzruszoną optymizm Nansena, z jakim on szedł przez lodową pustynię ku biegunowi. Mieć dalekie, wielkie, idealne cele i nieprzepartą energię i niezłomną wolę maszyny, działającej z matematyczną konsekwencją. Stan duszy, który nazwałbym Nansenizmem, streszczający w sobie najbezinteresowniejsze, idealne porwy, ścisły rozum i niezachwiane mężstwo w dążeniu do ich spełnienia, jest tym stanem, o którego zaszczepienie w ludzkich duszach trzeba się starać jak najbardziej.

To też najnienawistniejszym typem dla Witkiewicza był t. zw. l'homme médiocre, człowiek „pośredni“, „trzeźwy“, ten Sancho-Pancho wszelkiego nansenizmu. Pogardę dla tego typu najdobitniej wyraził Witkiewicz przy sposobności omawiania sporu granicznego o Morskie Oko w Tatrach, sporu, którego przedmiotem było kilkaset morgów nieużytków skalnych. Przytoczę w całości ten charakterystyczny ustęp: („Na przełęczy“: Po latach).

Ludzie t r z e ź w i, to jest ciałni i pospolici, z ironicznym zdziwieniem patrzyli na walkę o skały i wody, których jedyną wartością było ich piękno, ich czar legendowy, — na tę walkę, która często przybierała charakter podjazdowych utarczek na kresach. Niszczenie stawianych przez Węgrów schronisk, obalanie potężnych, ciągnących się kradzionymi granicami, płotów, posyłanie ostrzegawczych kulek z za

turni, obok kilkudziesięciu tysięcy podpisów na petycji do sejmu, nieustająca, uporczywa i bezwzględna walka, doprowadziła w końcu do międzynarodowego sądu, który rozstrzygnął spór tak, jak każe sprawiedliwość... Wyrok sądu wywołał powszechną radość i entuzjazm. Tylko ludzie trzeźwi, którzy stali z boku, przeżywając pospolitość dusz własnych i krótkowidztwo umysłów, pojmujących tylko wartość tego, co się w ostatecznym rachunku daje obliczyć na pieniądze, ci tylko twierdzili, że dzieciństwem i głupstwem jest ta radość z uzyskania tytułów posiadania kupy bezpłodnych kamieni...

Ludzi trzeźwych, jak wiadomo, rozmnożyło się u nas w ostatnich czterdziestu latach znacznie ponad istotną potrzebę życia. U Morskiego Oka i w każdym innym wypadku występują oni ze swoją mądrością chleba powszedniego i dnia dzisiejszego, — nie widząc nic w przyszłości i z beznadziejnym materializmem wyszukując jedynie wartości realnych, to jest tego, co można dostać, nie walcząc, co jest resztką prac i walk dawnych pokoleń, co leży gotowe i zaspakaja potrzeby powszedniego egoizmu. Ludzie tacy nie rozumieją, że nie można Ojczyzny dzielić na ziemie użyteczne i nieużyteczne, że Ojczyzna jest ideą, obejmującą dany obszar ziemi, w który wsiąkło życie narodu przez wieki jego trwania, walk, znojów, klęsk, zwycięstw, rozpacz i radości. Zredukujmy pojęcie ziemi ojczystej do zysków, które ona daje, a za-

mienimy ją na towar, który pokutujący w społeczeństwie człowiek realny-handlarz, wyprzeda więcej dającymu. Całość Ojczyzny utrzymuje duch ludzki, — nie można z niej robić interesu, nie można obliczać jej wartości ilością ziaren pszenicy, które ona daje, ilością wieprzy, które się nią wykarmią.

W książeczce o Matejce, wydanej w r. 1903, Witkiewicz snuje na ten sam temat następujące rozważania:

Kto pamięta czterdzieści ostatnich lat historii Polski, czyje życie rozpoczęło się w ogniu najwyższego napięcia narodowej świadomości, kto wypadł w świat, jakby z czeluści rewolucyjnego wulkanu, osmolony tym żarem, a idąc przez życie, chociaż się dużo nauczył, nie stracił nic z tego blasku idei i uczuć, które wówczas gorzały nad światem, ten przeżywa w tej chwili dziwne wrażenia. Był czas, czas straszny, kiedy reakcja po wielkiej klęsce, anemia narodowa, wynikająca z usunięcia z życia społecznego całego tłumu ludzi najdzielniejszych, wywołały niesłychany upadek ducha, obniżenia się jego poziomu do niziny bagiennej. Myśl narodowa, jakby przerażona temi szczytami, na których już była z poezją romantyczną, cofała się w zakątki pospolitego interesu i naród rozbijał się na atomy jednostkowego egoizmu, który podstawił swoje ograniczone hasła na miejsce wielkich idei. Kto wtenczas czuł inaczej, temu się zdawało, że szedł samotny drogą wyciągnię-

tą w daleką przyszłość, zostawiając za sobą, w mroku, tłum, zhamowany strachem i niedołęstwem.

W monografii o Aleksandrze Gierymskim, Witkiewicz tak opisuje tę epokę:

Była to chwila fatalna do zaszczepiania, tak na pozór niekoniecznej idei, jak sztuka. Właśnie robiono trzeźwy i surowy rachunek z romantyzmem, ze wszelkimi marzeniami i wskazywano ruiny, któremi zasypane były drogi życia społecznego, po przejściu cyklonu poezji. Wskutek fatalnego zaślepienia, nie widziano zupełnie znaczenia twórczości artystycznej; nie widziano, że nawet zredukowawszy cel wszystkich dążeń do materialnych jedynie interesów, że mierząc wartość wytwórczą pracy tylko ekonomicznymi względami, to i tak jeszcze, sztuka ma w życiu społeczeństw olbrzymią doniosłość. Wpływowi publicyści rozumowemi dowodami wyjaśniali, uzasadniali i wspierali tępą obojętność na to, co właśnie było objawem żywotności, niepohamowanej siły czynu i zdolności odradzania się plemiennego pierwiastku.

Zdawało się, że ideałem społecznym jest gruboskórna istota, ograniczona, upasiona, mająca pełne śpichrze i kieszenie, najeżona egoizmem, — istota, która nie chce ani czasu, ani bogactw, ani pracy zmarnować na „marzenia“, na żaden cel umysłowy, nie mający bezpośredniego wpływu na pomnożenie groszy i złotych, na zbytek idealny, jedynie godny ludzi...

Podobno jakieś miasto greckie obległ niegdyś nieprzyjaciel i zgadzał się odstąpić, pod warunkiem, żeby mu oddano wszystkie dzieła sztuki. Grecy odmówili i bili się do upadłego, ze świadomością, że bronią największego, najistotniejszego swego bogactwa. Gdyby owoczesną Warszawę spotkał los podobny, nietylko oddałaby dzieła, ale przyrzuciłaby w dodatku ich twórców, jako inwentarz całkiem w jej życiu zbyteczny.

Jest to fakt, dający się nieraz zauważyć, że pewne formy zbytku wydają się lekkomyślnem trwonieniem bogactwa, rozrzutnością, inne zaś zdają się koniecznymi, niezbędnymi potrzebami życia, bez których nie można się obejść. Właściciele olbrzymich fortun będą się długo zastanawiali nad kupieniem jakiejś rzeźby lub obrazu i ani na chwilę nie zawahają się nad wydaniem balu, sprawieniem zbytkownych strojów, które w jeden wieczór pochłoną sumy, mogące pokryć koszty wytworzenia niejednego dzieła sztuki, którego wartość nietylko nie maleje, lecz zwiększa się z przebiegiem wieków i staje się wprost bezcenną.

Ktoby widział owoczesną Warszawę z jej wspinałemi sklepami kosztownych jedwabi, pluszów, aksamitów, futer i koronek, angielskich kortów i paryskich kapeluszy; ktoby zliczył magazyny, sprzedające wykwintne i drogie jadła i napoje, ktoby wiedział, ile ten biedny na pozór kraj, wydawał na zmianę ubrania za każdym sezonem, na zmianę nowalii

na stołach, odpowiednio do pory roku, na nowe typy karek i wyścigowych breków, na angielskie uprząże, konie pełnej krwi, wyścigi i polowania, ile przegrywał w karty w noc jedną, ile wydawał na całe to używanie, w którym chodziło albo o najgrubsze zmyśły, albo o próżność, — tenby się zdumiał, dowiedziawszy się, co się w tym samym czasie działo ze sztuką...

Nie, nigdy nam nie brakło pieniędzy, — jeżeli czego brakło kiedy i braknie, to ludzi odpowiednich, czasem tych, którzy tworzą, czasem tych, którzy twórców rozumieją, czczą i potrzebują. Tymczasem ciasne pojmowanie dobra publicznego, nierozumienie, że niekiedy użyteczniej jest wytworzyć dobry obraz lub posąg, niż karmnego wieprza, źle przeprowadzony rachunek rzeczywistego stanu społeczeństwa, wszystko to rozgrzeszało je z ciężkiego niedbalstwa o coś tak cennego, jak sztuka, rozgrzeszało z ciemnoty i niskiego pojmowania zbytku...

Żeby bogactwo prywatne mogło podlegać jakiejś społecznej kontroli, któraby powstrzymywała jego marnotrawstwo na niskie, marne cele, pokazałoby się, że nie naruszając w niczem słusznych praw jednostki, ani normalnego biegu praw ekonomicznych, możnaby miliony zużywać na najidealniejsze cele, na sztukę, lub rozmyślenia o najbardziej oderwanych zagadnieniach umysłowych. Czasem, jak się spotka pewnych ludzi, o których się wie, ile ich

życie kosztowało tysiący, ba! milionów, człowiek się zdumiewa i pyta: I to za takie skarby wyhodował się taki okaz?! Pracę tysięcy ludzi żyjących, oszczędzone dziedzictwo pokoleń wymarłych, wszystko to pochłania taki jeden żołądek, taki jeden splot grubych zmysłów i niskich namiętności...

Gierymski nie mógł bez najboleśniejszej ironii, najgłębszej pogardy wspomnieć „Warszawy“, jako najwstrętniejszego dla niego otoczenia, jako środowiska, które mu się wydawało stekiem głupstwa, płaskości, ciemnoty i upodlenia... Społeczeństwo, z którego wypruto wszelkie idee i zastąpiono je interesem, — społeczeństwo płaskich spekulantów, płytkich miłostek, uganiania się za łatwym powodzeniem i robienia sobie cnoty obywatelskiej ze zręcznego bogacenia się...

Miałem z lat dawnych plan wydania książki o Warszawie, Warszawie żywej, obecnej, tak jak ona w starych murach drga nowem życiem, jak ogarnia sąsiednie pola swemi ohydnyemi kamienicami, jak cierpi i jak się cieszy, z całą szczytnością i całym ptugastwem jakie w niej istnieje; od poddaszy do piwnic, od pałaców do dziur w wiślanych brzegach, w których snuje się zdziczała, zjadana przez wszy i choroby ludność. Słowem, dania całkowitego obrazu tej rzeczy dziwnej i potwornej jaką jest wielkie miasto i wydobyć na jaw tych krain, graniczących z sobą, a nic o sobie nie wiedzących; ukazania w słowie

i obrazie tych dziwnych sprzeczności zjawisk, tych szczytów myśli i czucia — i ciemnych przepaści zdziwienia i upodlenia. Pokazanie ludzi żywych wszelkiego rodzaju, od bogaczy, którym się z przejedzenia strawa wraca na brzegi ust, do nędzarzy, którzy wyszukują resztki nieogryzionych kości po śmietnikach; od sióstr miłosierdzia z duszą prostą, zatopioną w miłości i współczuciu dla nędzy i cierpienia, do biednych kobiet, sponiewieranych w błocie ulicznym, przez niemilosierne i złośliwe stosowanie praw społecznej etyki. Słowem, ukazanie Warszawy żywej, zmiennej, ruchliwej, dygocącej takim szalonym temperamentem, tak czasem szczytnej i wzniosłej, tak nieraz płaskiej i pospolitej.

Mieliśmy zamiar z Gierymskim opracować dobroczynność warszawską. Poszliśmy więc do Towarzystwa Dobroczynności i tam, oprowadzeni przez siostrę miłosierdzia, poznaliśmy, na razie ogólnie, wszystkie rodzaje biedy, wszystkie rodzaje starzyzny ludzkiej, ciała zestarzałych, dusz wynędzniałych, od cynicznych dziadów, z zazdrością głodnych zwierząt zagląających w miskę sąsiada, do rzeczywistej, dramatycznej nędzy ludzi, którzy przeżyli swoje życie w czynach wzniosłych i dobrych, przeżyli silnie, i, nie mając ani sił do dalszej walki o istnienie, ani zaoszczędzonych środków, ani możliwości rzeczywistego umarcia, poszli do tego składu zszarżanych istnień ludzkich, do archiwum wybladłych i zbutwiałych,

rozsypujących się szpargałów, jakimi są wszelkie przytulki.

W takim to życiu rzeczywistem zanurzał się Witkiewicz i patrzył na wszystko, co się działo dokoła niego, uważnem i nieustraszonem okiem. Przyjaciel Witkiewicza i bardzo utalentowany malarz, Adam Chmielowski, o którym pisze Witkiewicz, że

umysł jego głęboki i logiczny wcześniej niż czyjkolwiekby dotarł do najsluszniejszych pojęć o sztuce i jej stosunku do ludzkiej duszy

i którego Witkiewicz uważał za swego jedyne go prawdziwego nauczyciela malarstwa, — (choć nigdy uczniem jego nie był) — Adam Chmielowski na widok nędzy ludzkiej porzucił sztukę, i — jako Brat Albert — założył nowy w Polsce III Zakon św. Franciszka, celem ratowania ginących jednostek.

Umysł Witkiewicza innemi nieco poszedł drogami. Jakkolwiek sposób życia św. Franciszka i jego naśladowców budziły w nim najgłębszą cześć i żywe współczucie — nie mógł się jednak pogodzić myślą z takim porządkiem świata.

Jeśli byłoby możliwem przełożenie na język prozy Improwizacyi Konrada lub wyzwania Zeusa przez Prometeuszów literatury — to byłyby tem może niektóre ustępy z artykułu zatytułowanego „Chrześcijaństwo i katechizm“, podnoszącego konieczność oparcia nauki religii w szkołach raczej na podstawach bezin-

interesownej miłości bliźniego, niż na wyrozumowanym stosunku wzajemnych usług Boga i człowieka.

Jeżeli uwzględnimy, że pisał to człowiek o niesłychanej, bezprzykładnej dobroci osobistej, o kipiącej, przelewającej się za brzegi bujności życia, o dziecinnej nieraz wesołości i lotnym dowcipie — które zachował do ostatnich czasów, pomimo gruźlicy, trawiącej jego organizm od lat młodzieńczych, — zrozumiemy, że nie jest to jałowy dyalektyczny Schopenhauerowski pesymizm, lecz bunt miłującego serca przeciwko krzywdom świata. — A jak stwierdzenie wad w malarstwie Matejki nie przeszkadzało Witkiewiczowi uznawać jego obrazów za arcydzieła, jak uznanie wad górali nie przeszkadzało mu zachwycać się żywotnością i pięknem tej rasy, tak samo skonstatowanie wad świata nie przeszkadzało mu trwać w optymizmie, poszukującym bieguna „dobra ludzkości“, jak Nansen poszukiwał bieguna północnego, — i cieszyć się zmartwychpowstałą ideą Legionów.

Oto urywki z tego artykułu:

Jak głęboko w przeszłość sięga historia, jak szeroko obejmuje przestrzenie lądów, jest ona cała ponurą opowieścią o rzeczach przerażających. Żrące się mrowiska ras, państw, społeczeństw, jednostek, przewalają się, wśród rzek krwi, po jej kartach. Poganie mordują i męczą chrześcijan, chrześcijanie pogani. Królowie mordują możnych, możni biednych,

o ile zemsta nie odwróci w przeciwnym kierunku tego biegu zbrodni.

Katolicy mordują heretyków, schyzmatyków, żydów, — schyzmatycy, kalwini, lutrzy, mordują katolików. Wojny stuletnie, trzydziestoletnie, siedmioletnie i dwudziestoletnie, i jednoroczne, walki klas i walki indywiduów... Rzeź, rzeź, i rzeź — oto historia ludzkości...

Lecz poza mordem i katowaniem, poza tą zbrodnią w stanie zapalnym, jest jeszcze zbrodnia chroniczna, są ustroje społeczne, oparte na ciągłym i stałym męczeństwie milionów ludzi, ustroje, których podstawą jest niewolnictwo w przeróżnych formach, od sprzedawanych na targowiskach stad ludzkich i pańszczyzny, do niewoli proletaryatu robotniczego w ekonomicznych pętach kapitalizmu; — jest podział ludzkości na kasty i klasy, podział, który „nieurodzone jeszcze pokolenia“ z góry skazuje na wymieranie z nędzy, na poniewieranie i upodlenie... Każda z sił natury, każde jej zjawisko, w stosunku do człowieka, do tego „najznacniejszego stworzenia“ Bożego, było wrogiem nieubłagany, potężnym i nieprzejednanym. Każda nazwa wulkanu jest nazwą ludzkiej klęski i męczeństwa, jest cyfrą w rachunku ludzkich ofiar. Pod strumieniami lawy, pod zaspami popiołów i głazów, pod wściekłym, rozpalonym, trującym oddechem gazów, zginęły i giną niezliczone tłumy, giną miasta, giną pola, krwawym trudem

z jałowej pustyni wydarte. Trzęsienia ziemi, jak drżenie skóry bydłęcia, strząsającego owady, strząsają w wieczność setki tysięcy ludzkich istot, roztrzepują na gruzy ich siedziby i pochłaniają w mrokach swoich rozpadlin. Z oceanów wstają fale i szturmem biorą lądy, splukując człowieka, jak piaski wydm nadbrzeżnych. Każdy wylew rzeki niesie w mętnym nurcie kłębowiska topielców i zasnuwa brudnym mulem role, w które wsiąkły łzy i pot i trud całych pokoleń. Cyklony i tornada przechadzają się po lądach, tajfuny po oceanach, zmiatając, jak kurz, ludzkość, spotykając na drodze. Czyjeż kły, zęby, pazury nie pastwiły się nad nią! Któż człowieka nie niszczył i nie zjadał!

Dość, by dziecko obejrzało szczękę lwa i szczękę krowy, żeby zrozumiało, że osią bytu wszystkich stworzeń jest rzeź wzajemna, jest niszczenie istoty tego bytu, — życia.

Najniewinniejsze — rośliny, i te niekiedy wychodzą z biernego stanu, w którym korzystają ze zniszczenia i rozpadu innych istot, i stają się naprawdę ich mordercami. Skoro jednak wchodzimy w świat zwierząt, odrazu zaczepiamy o ogniwo łańcucha morderstw, na których się wspiera całe istnienie.

Lilie zjada krowa, krowę — lew. Jedno jest przeznaczone dla drugiego, i każde z nich jest organicznie przystosowane do tego, by się wzajemnie pożerały, i w ostatniej instancyi, były niszczone i pożerane

przez człowieka, którego szczęki i żołądek są przystosowane do wszelkiej strawy, a rozum, przy pomocy którego z bezbronnej istoty stał się najstraszliwiej uzbrojoną, czyni zeń w gospodarstwie natury najstraszniejszego szkodnika, tępiciele, mordercę. A ponad całym widzialnym i dotykalmym światem istot żywych unosi się niedostrzegalna mgła drobnoustrojów, które niszczą człowieka, zwierzęta, rośliny, niszczą życie jednostek i rozprzegają spójnię społecznych związków, zjawiając się niespodzianie, zdradnie, wbrew wszystkim przypuszczeniom, pragnieniom, chęciom i nadziejom...

...Trzeba mieć odwagę spojrzenia do dna tego ważnego zagadnienia, trzeba naukę religii zbudować na takich podstawach, któreby ją wzniosły ponad wszystkie inne zagadnienia umysłu i uczucia, jeżeli się chce, żeby ona mogła w duszach ludzkich się utrzymać...

Człowiek, ogarnięty miłością dla człowieka lub idei, dla ojczyzny czy dla Boga, ma w sobie siłę, która go bez żadnych wyrozumowanych motywów, porywa do czynów poświęcenia, samoofiary, bezwzględного oddania się dobru i chwale umiłowanego przedmiotu. Niema wtenczas krytyki, niema rachunku wzajemnych usług, ponieważ szczęście, płynące z samoofiary miłości jest ponad wszystkim.

A więc, według Witkiewicza, religia powinna uczyć miłości i dobroci, bezinteresowności postępo-

wania, pokrewnej porywom artystycznym. Nie oczekiwanie nagrody, lecz natchnienie duchem Ewangelii stanowić winno istotę nauki chrześcijańskiej, odróżniającą ją od Starego Zakonu.

„Boga żaden nigdy nie widział. Jeśli się miłujemy zobopólnie: Bóg w nas mieszka, a miłość Jego doskonała jest w nas“. Ten wyjątek z listu św. Jana, umieszczony przez Tolstoja jako motto do pięknej jego bajki, przełożonej przez Witkiewicza na gwaraę góralską „Cem ludzie zyjom“, stanowi myśl przewodnią, pokrewną obydwu pisarzom. Przekład na gwaraę góralską „Kwiatków św. Franciszka“, żywcem z życia podhalańskiego wzięte opowieści o Jędrku Cajce, samorodnym kaznodziei miłosierdzia, o Zośce Galicce, o której stary kościelny mawiał:

to było dobre, strasnie dobre. Co mnie hnet jest sto roków, przez jednego, alek takiego dobrego cłowieka, jako to, tok ani nie widział —

cała ta etyczna strona pism Witkiewicza wymaga osobnego studyum.

Nietylko w stosunkach między jednostkami i grupami społecznymi Witkiewicz piętnował nieżyczliwość wzajemną, lecz i nienawiść plemienną uważał za *jedną z najpodlejszych zmor świata ludzkiego*.

Całą zresztą przyrodę ogarniał gorącym uczuciem miłości. Kochał rośliny i zwierzęta, i uważał, że nie

dość je chronić przed ujemnymi wpływami kultury, lecz że należy je rozsiewać i hodować. W pustyni tatrzańskiej widział Witkiewicz

potężny środek skrzepienia żywotności, odprostowania dusz i ciał, zgiętych i zmiętych przez życie wyłącznie intelektualne.

Chałubiński, człowiek tak wielką rolę odgrywający w życiu politycznym i społecznym Warszawy, uciekał od jej utylitaryzmu w dziki las tatrzański, do romantycznych stosunków pierwotnej kultury ludowej.

On się poprostu zapamiętywał wśród tego dziwnego górskiego świata

pisze o nim Witkiewicz. Zdawało mu się, że Tatrami uleczyć można całą Polskę. Uleczyć Warszawę nie tylko z gruźlicy, ale ze straszliwiej jeszcze panującego się w niej pozytywizmu, zarażającego w niej najdzielniejsze jednostki swoim martwym oddechem — to zdawało się promieniować z tej wspaniałej postaci, co jak harnaś zbójnicki, „król tatrzański“, otoczony gromadą górali, zaprzepaszczał się na całe tygodnie w Tatrach. Zbierał i badał mchy: lecz kazał sobie grać przytem zbójnickie marsze, i śpiewać i tańczyć.

Inni ludzie, którzy przyszli tu z sercem gorącym, poszli jeszcze dalej. Weszli do izby góralskiej i wynieśli stamtąd rzezany i cyfrowany łyżnik, — jak ciepłe tchnienie wiosny wydobywa z pod ziemi

pierwszy kielek zatraconej, niewidzialnej cebulki krokusa. Wnet cała polana zakwitła jak oaza pod tem dobrem tchnieniem, pieczołowitem spojrzeniem i troskliwą opieką: tak się zaczął „styl zakopiański“, w Polsce, zawdzięczający swoje istnienie nadewszystko Dembowskiemu, Matlakowskiemu i Witkiewiczowi.

Jest charakterystycznym, że pierwsza większa rzecz drukowana, jaka się w tej sprawie pojawiła, była polemiką: artykuł Witkiewicza z r. 1891 druzgotał panegiryczną opinię L. Meyeta o prowadzeniu zakopiańskiej szkoły zawodowej. Artykuł ten, zatytułowany „Styl zakopiański“ podaje ścisłą informację o usiłowaniach początkowych wyrobienia prawa bytu miejscowym motywom zdobniczym i budowlanym, naprzekór panoszącej się już wówczas kosmopolitycznej tandecie. Od tego czasu minęło ćwierć wieku. Przez ten czas Witkiewicz walczył o styl zakopiański uczynkiem i piórem. Stawiał wspaniałe domy na wzór budownictwa góralskiej chaty z taką namiętnością, jakby budował barykady. Zbierał motywy zdobnicze, uczył, jak je stosować, wcielał w życie najśmielsze pomysły, jakby urzeczywistnienie Norwidowskiego widzenia polskiej kaplicy — aż stanęły wpoprzek jego działalności ciężka choroba — i cięższe jeszcze stosunki, wypływające z ludzkiej tępoty, pospolitości i złej woli. Lecz pomimo to wszyst-

ko — nie przestawał walczyć piórem, słowem i rysunkiem.

Dotknąłem powierzchownie tylko tego tematu, który oczekuje na fachowe opracowanie, a dotknąłem go dla tego, że pierwiastek walki, jak wszędzie u Witkiewicza, tak i tu ma zasadnicze znaczenie.

Jeszcze silniej zaznaczył się ten pierwiastek jego temperamentu w zetknięciu z wydarzeniami publicznymi zakopiańskiego życia, które nabrały rozgłosu przez publicystyczne artykuły w Przeglądzie Zakopiańskim w 1902 r., które następnie zostały wydane w osobnej książce „Bagno“. Zwycięski o nią proces był symbolem oczyszczania atmosfery moralnej w Polsce.

Witkiewicz był jak ten Samek z opowieści: *Na umarcie*, którego mierzył trajkot wsiowych dziadów i bab, i zaduch chaty, więc mieszkał w górach, jako polowac i zbójnik. Tam miał czyste powietrze i ciszę i swobodę. — Taką dziedziną była dla Witkiewicza jego sztuka.

Malował on pejzaże z taką analityczną ścisłością i prawdą nastroju, że jego „Wiatr halny“ prof. Romer uznaje za naukowy dokument meteorologiczny, twierdząc, że intuicya malarza zdołała uchwycić zjawiska, nie dające się dotąd ująć w sposób naukowy. Jego „Czarny Staw“, zaprószony śniegiem, kierdele owiec, niezliczone potoki, mgły, lasy, śniegi, kwiaty

i nieba — wszystko to jest cudownym wyrazem czyściej jego duszy.

A o spojrzeniu dobrych, głębokich, niebieskich jego oczu można powiedzieć jego własnymi słowami:

zdarza się, że człowiek całkiem nieznanym, przechodząc mimo, spojrzy w sposób tak bezwzględny i głęboki, że na zawsze pozostaje wrażenie kogoś znajomego i bliskiego.

To też w życiu jego było pełno gorących przywiązań i przyjaźni. —

Ale Witkiewiczowi nie wystarczały ani Tatry, ani sztuka, ani nawet najserdeczniejsze przywiązania ludzkie: od dzieciństwa żył myślą o Polsce z entuzjazmem skrytego w lesie powstańca, z tęsknotą sybiraka. We wszystkich jego pismach przebija to wielkie ukochanie. Jest ono źródłem nieskończonych rozważań przy sposobności mówienia o płótnach Matejki i Kossaka, tak głęboko zahaczających o najistotniejsze uczucia polskie.

Zniszczyć państwo dla kartografa jest tak łatwo, jak wywabić tłustą plamę benzyną. W tem miejscu istniało coś, co miało imię, co miało pewną swoją treść i pewne własne formy bytowania, co osiemset lat w zmiennych losach trwało, żyło, działało, wpływało rozstrzygająco na losy innych istnień, — i tego niema śladu. Cała długowieczna robota setek pokoleń zniszczona i zatarta, zjawisko znikło bez następstw,

wszystko zostało cofnięte do tych czasów, kiedy na wschodnim krańcu państwa Karola Wielkiego wila się mgła małych ludków słowiańskich... Tak się zdało tym, którzy rysowali ostatnie karty atlasu historii polskiej. Ale tak nie jest w istocie.

W ciągu ośmiowiecznego istnienia Polski, na obszarze objętym zatartymi dziś śladami jej granic, wytworzyła się straszna, nienaruszalna, niezniszczalna siła: DUCH NARODU. Historia nie wie dnia jego narodzin, ani dnia krwawej kąpieli, w której go chrzczono, to pewna, że wzrósł on, zmeźniał i opanował Polskę w bohaterskich czasach Bolesława Chrobrego, — i dotąd trwa. On był i jest tą siłą, która utrzymuje rzecz i imię Polski, która stanowi istotne jej granice. On to nie dał jej zginąć w strasznej zawierusze, która rozpętała się nad Polską ze śmiercią Bolesława Chrobrego, on imię Polski, zatracone w miazdze małych państewek podziałowych, wypisał znowu na sztandarze Przemysława, on krzepił Łokietka i jak huragan szedł przez pola Grunwaldu, a kiedy po dwóch wiekach potęgi szwedzki potop zalał Polskę, duch ten, utajony w piersi Kordeckiego, wybuchnął z siłą, która zdaje się cudem, i duch ten nie dał dawnej Polsce zginąć w zupełnem spodleniu, on dał jej Raclawice.

Dziwna to siła. Jest ona, jak te nowoodkryte ciała, promieniujące z najmniejszej cząsteczki energii, która zdaje się nie wyczerpywać i być nieproporcjonalną

do masy tej cząsteczki. Mówimy: Duch narodu, i wyobrażamy sobie całość pewnego obszaru ziemi, zamieszkałą przez ludzi, z których każdy jest tym duchem ogarnięty, i daje w sumie to, co stanowi życie i historię narodu. A tymczasem duch ten niekiedy opuszcza tłumy i pozostaje w jedynej duszy, jak Joanna d'Arc, Kordecki, Kościuszko... Były chwile, kiedy zdawało się, że na obszarze Polski nie było śladu tego ducha i serce jej biło we Włoszech, — w legionach Dąbrowskiego. Odtąd rośnie on i potężnieje niezmożony klęskami, nie dający się zabić przez żadne prześladowania.

Przystąpimy teraz do poznania poglądów Witkiewicza na polityczne życie współczesnej Polski, poglądów, porozsiewanych tu i ówdzie po rozmaitych kartach jego książek:

Nie można pojęcia Ojczyzny oddzielać od pojęcia jej bytu niepodległego, — od pojęcia swobody. Tylko ten naród ma ojczyznę, który albo tę swobodę posiada, albo dąży do niej, — który pragnie zupełnego wcielenia w życie swojej istoty, pragnie spełnienia ostatecznego swoich przeznaczeń w bezwzględnej z sobą zgodzie. Naród może być pozbawiony niezależnego państwowego bytu, lecz dopóki ta idea ojczyzny jest w duszach, dopóki stanowi dźwignię czynnu, dopóki jest celem przyszłości, dopóki jest treścią myśli, uczuć i nadziei, — dopóty żyje i skupia milio-

ny ludzkie dokoła jednego hasła i jednego czynu. Z chwilą, w której idea ojczyzny znika z dusz i rozsypuje się na miał interesów jednostek lub grup społecznych, — przepada też sama ojczyzna. — Rozbiory, które zburzyły państwo polskie, były tylko mechanicznem rozdarciem obszaru Polski, jak narzucone formy obcego bytu państwowego były tylko przymocą materialnej siły. W myślach, w uczuciach, Polska była cała i była niepodległa, i pokolenia po pokoleniach przychodziły i kładły za tę ideę swoje życie. Idea ta była syntezą przeszłości, wszystkich wieków niezależnego bytu Polski i tych pojęć o przyszłości, które, wyłaniając się nieśmiało za Wielkiego Sejmku, potęgowały się za Kościuszki, a z Legionami pochłonęły cały splot pojęć wielkiej Rewolucyi, i złączone z tradycją, wytworzyły postać Polski żywą, wszechobecną, konieczną, nieodłączną od pojęcia narodowego bytu. — Matejko wszystko to malował, od Mieszka i Chrobrego, przez Grunwald, Lubelską Unię, — do Rejtana i Kościuszki i Polski w niewoli, — malował, nie tracąc ani na chwilę całości, jednolitości i niezależności tej idealnej Polski. On „nie zapomniał na ustach wyrazu“, i Bóg, spytawszy, „jaka?“, nie przeraziłby go, on miał odpowiedź gotową — i nie przeczuwał zapewne, że życie przeszło już ponad nią, że jest ona miniętym słupem na drodze historycznego pochodzenia Polski. Podzielona mechanicznie Polska rozpadła się teraz naprawdę. Jej obszar

historyczny, który pod imieniem Korony, Litwy i Rusi zdawał się jednolitem, nierozdzielnym terytoryum, nad którem panowała, które w nierozłączną całość spajała idea państwa polskiego, nadając mu jednakie przeznaczenie, jej obszar rozdzielił się teraz na całkiem różne terytorya, zamieszkałe przez różne, a nawet wrogie narody. Pod małą warstwą polskiej lub spolonizowanej szlachty, utrzymał się na Litwie i Rusi lud litewski i ruski, który wskutek społecznych warunków nie brał udziału w życiu politycznym państwa polskiego, nie zawierał Unii i pozostał poza wpływem polskiej kultury w czystym stanie swego etnicznego pochodzenia. Ten lud litewski i ruski przyszedł dziś do narodowej świadomości, do pojęcia własnej, niezależnej ojczyzny i — nie uznając aktów prawno-politycznych, które go kiedyś wcieliły do państwa polskiego, nie uznając tradycyi płynącej z wspólnego przez długie wieki współżycia i wynikających stąd obowiązków, — burzy, tym razem już naprawdę, ten ustrój polski, który przyświecał Matejce jako zasadniczy pierwiastek jego idei Ojczyzny. Ludy, które walczą pod wspólnemi sztandarami w Grunwaldzie, które przysięgają na te sztandary w Unii Lubelskiej, rozchodzą się ostatecznie. Prężność ich sił narodowych natęża się, by całkowicie i bezpowrotnie odeprzeć polskie morze od jego granic etnograficznych i zrzucić z siebie to wszystko, co stanowi jakikolwiek ślad polskiego panowania

i wpływów polskiej kultury. Teraz dawna Polska rozpada się naprawdę i cała treść jej bytu staje się tylko legendą przeszłości, — nie życiem, nie przyszłością. Myśl Matejki, błądząc po historycznym obszarze Polski, nie mogłaby z dawną siłą przekonania czuć się u siebie, wkraczając w granice Litwy i Rusi. Tam już teraz jest kto inny, który tych obszarów strzeże, jako swojej wyłącznie i niepodzielnie własności, pragnąc dla siebie tego, czego my pragniemy dla nas. I prawa tych ludów do samodzielnego, niezależnego bytu są bezwzględne, są wyższe od tego co ludzie nazywają prawami historycznymi, które są zawsze albo wynikiem przemocy, albo przemocą się utrzymują. Życie jest największym prawem bytu jednostek i narodów. Zbrodnią też i głupstwem byłoby chcieć w jakikolwiek sposób przeciwdziałać urzeczywistnieniu, do ostatecznych konsekwencji, tego porywu Litwy i Rusi do życia niezależnego, do bytowania nie tylko pod własnym imieniem, ale według własnej, narodowej treści i na własną odpowiedzialność. Ale ten rzeczywisty, terytoryalny i polityczny rozpad dawnej Polski, chociaż jest jednym z największych zdarzeń w historii polskiego narodu, nie jest jedyną zmianą, która zaszła w jego losach we współczesnej Matejce dobie dziejowej. Naród, którego życiowa ekspansja zalała obszary innych ludów, może być przez bieg wypadków nawrócony do swoich granic pierwotnych, określonych etnograficznym obszarem

i może pomimo to pozostać tym samym narodem, dopóki ta siła jego życia, która kiedyś przelatała się przez brzegi, obejmując rozległe, dalekie przestrzenie, dopóki ta siła w nim tkwi i działa, dopóki on się czuje narodem nieujarzmionym i dopóki z bezwzględnością, nie znającą kompromisów, pożąda życia niezależnego, dającego możliwość spełnienia wszystkich jego przeznaczeń, — dopóki swego bytu nie oddziela od konieczności absolutnej swobody, bezwzględnej możliwości kierowania swemi losami według własnej, najistotniejszej treści i dopóki chce walczyć za to prawo. W tym kierunku zaszła w Polsce zmiana tak radykalna, że idea jej taka, jaka pochłaniała myśl Matejki, rozpadła się w gruzy i stała się fikcją, za którą ludzie nie chcą oddać ani życia, ani nawet swego spokoju i dobrobytu. Pod wpływem różnorodnych czynników, działających przez lat kilkadziesiąt, w duszy polskiej nastąpił radykalny przewrót, — oddzieliło się w niej coś, co zostało nazwane „marzeniami“, od życia realnego, od konieczności życiowej, od rzeczywistych potrzeb; oddzieliło się i zostało poza życiem to właśnie, co dotąd było jego najistotniejszą treścią, osią, około której obracał się cały świat polski, najwyższem prawem, najbezwzględniejszym nakazem sumienia. Naród polski w chwili straszliwego otrzeźwienia zrozumiał, że można żyć, — i dobrze żyć! — poza Ojczyzną, — że można mieć literaturę, sztukę, naukę, fabryki i wzorowe gospodarstwa, ban-

ki, przemysł i handel, być bogatym i oświeconym, żyć całą pełnią cywilizowanego bytu, — nie znając Ojczyzny, nie znając prawa kierowania własnymi losami, nie mając własnej treści i własnej formy państwowego bytu. Zrozumiał, i ofiarował swoje siły na pożytek państw, których jest terytoryalną i polityczną częścią, ofiarował w zamian za zapewnienie możności życia w najdogodniejszych warunkach bytu, zastrzegając sobie jednak prawo mówienia, czytania i pisania po polsku. Naturalnie, mówiąc: „naród“, trzeba zawsze pamiętać, że pojęcie to nie odpowiada konkretnemu zjawisku rzeczywistego życia, że naród, jako zrzeszenie ludzkie, działające jednolicie pod wpływem jednej idei, nie istnieje naprawdę wcale; że każdy naród jest rozbity na części, działające pod impulsem nieraz sprzecznych pobudek moralnych i materyalnych. Tak też jest i w tym wypadku. Nie wszyscy wyrzekli się marzeń. Jest jeszcze garść, która nie poddaje się, która idzie w dalszy pochód historyczny, wiedząc poco i dlaczego. Ale ta garść wydaje się ludziom trzeźwym garścią szaleńców i głupców, a nawet zbrodniarzy. Czy to są nowe pokolenia, które nie ogłuszone strachem, mają mężstwo i chęć życia w burzy, czy też są to ostatni Mohikanie, pogrobowcy, skazani na bezpłodny trud i męczeństwo? Pokaże przyszłość. Jedno jest pewne, że ponieważ narodu nie stanowią ani jedno, ani dwa pokolenia, tylko niezliczone ich szeregi, więc przyszłość ta może

jeszcze ukazać zdumionemu światu polaków, nie gorszych od tych, których malował Matejko, zdolnych wziąć znowu na swoje barki ciężar historii i odpowiedzialność za własne losy...

Proroctwo Skargi spełniło się, — spełniło się w sposób straszliwszy, niż jego przepowiednia. Skarga mówił o tem, co z tym narodem uczynią inni, ukazał potworność niewoli, ale nie mówił o czemś straszniejszym, o własnem spodleniu, o tej zupełnej zgniliznie dusz, która tworzy rzeczywistych niewolników, która rzuca się z pianą jadu na tych, co się nie chcą zaprzedać, która z ludzi tworzy stado skołowaciałych ze strachu zwierząt, gotowe zdeptać i deptące każdego człowieka, przynoszącego krwawą walkę ludzi wolnych nad syty spokój niewolników, którzy wyrzekli się marzeń...

Jednym z zakresów czynu, w którym się przejawia, z bezwzględną szczerością, temperament narodowy, jest wojna...

Każdy czyn narodu, w którym tkwi wielki objaw sił duszy ludzkiej, — słowem, każde bohaterstwo, jest ogniskiem, promieniującym w dalekie wieki...

Są imiona i nazwy, których wymówienie wywołuje w jednej chwili jasne i olśniewające jak błyskawica widzenie, w którym każdy człowiek, bez wyjątku, jeżeli tylko ma prostą i sprawiedliwą duszę, odczuwa jedno i to samo. Dość też powiedzieć: Somo-

sierra, żeby cała treść tego zdarzenia, cała bezwzględność poświęcenia, wierności i mężstwa błysnęły przed oczami w jednym zamachu ulańskiej szabli, i żeby w tejże chwili inne imię, — imię Kozietulskiego, jak konieczne echo odbiło się w myśli. Napoleon przypomniał widać wtenczas wykrzyknik generała Chłapowskiego: „Un polonais passe partout“! — i jak przeszło przed wiekiem, hussary w dwieście koni poszła na krociowe obozowisko tureckie, tak teraz 125 szwoleżerów „czwórkami od prawego“ zdobyło wąwóz skalisty, broniony przez 14 dział i dziewięć tysięcy ludzi, — zdobyło, gdyż to co miały do zrobienia idące za nimi wojska, było tylko przejściem przez wyłom, wybity w szeregach i w duchu hiszpańskiego żołnierza, atakiem szwadronu Kozietulskiego. General Puzyrewski, świetny i bezstronny historyk wojen, wytłumaczył z jasnością i ścisłością naukową, dlaczego ten czyn, który się zdawał cudem, lub samochwalczem zmyśleniem, dlaczego ten czyn jest w gruncie tak prostym i naturalnym zjawiskiem. Oto dlatego, że największą siłą, jaka jest w świecie ludzkim, jest siła duszy, jest widmo wielkiej idei i wielkiej nadziei, — która jaśnieje nad sztandarami, — jest ten duch żołnierza, który go „zawsze unosi naprzód“...

Ludzie, którzy słusznie zresztą pytają, dlaczego te, lub inne przyczyny nie wydają zamierzonego skutku, wobec takich czynów, jak Somosierra, wobec okrwa-

wionych trupów ułańskich, leżących na śniegach Guadarany, lub polach Możajska, mają jedno tylko uczucie goryczy i słowa potępienia dla tego, kto był przyczyną tych bezskutecznych wysiłków. Lecz w tym wypadku, taki pesymizm opiera się na zbyt krótkowidzącym ocenianiu faktów, na sądzeniu wypadków historycznych według natychmiastowego wyniku. Tymczasem życie i historia brana w wielkich okresach czasu mówią co innego, mówią, że żeby nie ta sława żołnierska, nie to bohaterstwo bezwzględne, okazane w wielkiej, powszechnej burzy dziejowej, społeczeństwo to byłoby tylko trawą stratowaną przez walczące strony, nicością, o którąby nikt nie dbał, i z którą by się nikt nie rachował.

Bieżące wydarzenia polityczne Witkiewicz silnie przeżywał i nieraz na nie czynnie reagował w swoim zakresie działania. Prądy wyzwolenicze z przed dziesięciu laty głęboko poruszyły jego duszę. Wydał on wówczas krótkie *Wezwanie do zbierania składek na ofiary walki o swobodę Polski i prawa ludzkości*:

Odrzućmy w tej wielkiej chwili wszystko, co nas dzieli, wszystkie uprzedzenia klasowe i wszystkie nędze partyjnego ducha — bądźmy tylko wzniosłymi ludźmi, bądźmy jednolitym wielkim narodem — bądźmy Polską!

Rozważania polityczno-społeczne Witkiewicz spisywał, jako materiał do książki, którą zamierzał wy-

dać pod tytułem: *Życie — Etyka i Rewolucja*. Niestety, ciężka choroba nie pozwoliła mu na to. — Kiedy na ziemiach polskich wybuchła wojna, Witkiewicz sądził, że treść tej jego nienapisanej książki pisać już będzie życie samo. Odżyły nagle najśmielsze polskie nadzieje. Witkiewicz żył tylko myślą o strzelcach, którzy pierwsi przeszli kordon graniczny z bronią w rękę, a potem już o walczących w polu przeciw Rosyi Legionach polskich.

Ślady myśli i uczuć, które przeżywał w tym czasie, pozostały w listach do siostry, nieprzeznaczonych bynajmniej do druku, — ale dzięki temu, że *Wyjutki* z tych listów zostały wydane w „Wiadomościach Polskich“, — związały one nierozzerwalnie nazwisko Witkiewicza z Legionami. — Nie jest to dzieło literackie — z tem większym należy je czytać szacunkiem. Daty listów zbiegają się z wspomnieniami wydarzeń pierwszego roku wojny. Są one jak uderzenia skrzydeł łabędzia śpiewającego ostatnią pieśń życia.

19 sierpnia 1914.

Cokolwiek będzie na końcu tej potwornej wojny, my już zwyciężyliśmy, zwyciężyliśmy nasz strach poniżający — znowu jesteśmy narodem. Strzelcy to Legiony naszych czasów i tę samą rolę odegrają w historii naszej.

29 września.

Cała radość, cała mądrość jest z Legionistami — z temi, co się biją, co się formują, co ich rany opatrują, co ich onuczki piorą. Maloduszność ludzka — to największy wróg narodów. Trzebaby wprowadzić lekcye bohaterstwa i wpoić w umysły tę prawdę — że od Mieszka I-go Polska istnieje pod tak różnemi postaciami, że jeżeli jedna Jej forma zapadnie się, to nie znaczy, żeby Ona zginęła. I, że trzeba na to każdej chwili być gotowym. Trzeba być Piłsudskim.

11 października.

Nie wątpić — i z tym duchem małego, rozkładającego sceptycyzmu walczyć! — Tolstoj w „Wojnie i Pokoju“, w rozmowie Kutuzowa z ks. Andrzejem mówi: „Dans le doute abstiens-toi“. W innych i w sobie samym tego ducha zwątpienia, który jest zarazem duchem lenistwa — trzeba zwalczać. Małostkowość sądów o wielkich wypadkach opiera się często na poczciwej ciasnocie umysłu, albo na sentymentalizmie, drażliwym na gwałtowne, a czasem brutalne przejawy takiego zjawiska jak wojna. Jak są ludzie dla których Suworów, ratujący indyka na gruzach Pragi, którą sam spalił i wyrznął, jest dobrym, uczuciowym człowiekiem — tak samo znajdują się tacy, którzy potępią Legiony, idące do walki o Polskę, za to, że przechodząc przez wieś, rozdeptały kaczkę. To są codzienne zjawiska. Ludzi trzeba koniecznie uczyć myślenia o wielkich czynach i zdarzeniach w sposób

wielki i opierający się na wielkich okresach czasu i biorący w rachubę całe lądy i milionowe rzesze ludzkie. I jeszcze jednej rzeczy trzeba uczyć — bohaterstwa.

27 października.

Przypomnijcie sobie, czem była Polska, kiedy Dąbrowski tworzył pierwsze Legiony i pamiętajcie, że Kościuszko miał mniej żołnierzy pod Maciejowicami, niż ich teraz ma Piłsudski! Otóż w lat 18 po Maciejowicach, szło z Napoleonem do Moskwy 60.000 polskiego żołnierza, najświetniejszego żołnierza, jakiego świat kiedykolwiek widział. Dowodzi to możliwości odradzania się, wiecznej żywotności, młodości sił, tkwiącej w polskim narodzie. Ale tkwią w nim i inne, trupie pierwiastki, zaraza upodlenia niewolniczego i głupoty, wynikającej z nieznamomości istotnego stanu Polski i rzeczywistego do niej stosunku państw ościennych. I tu rzeczywiście potrzebna koniecznie doskonała prasa, rozumna, uczciwa, do ostatniej kropli polska, genialna, porywająca.

3 listopada.

Coby było, gdyby nie ta garść ludzi, która woła „nie pozwalam“ i idzie dalej w ocean historii z własną duszą, z własną ideą i pod własnym imieniem. Bylibyśmy robactwem tratowanym przez walczące ludy — któreby nawet nie miały potrzeby uświadomić sobie, że pod ich nogami płacze się jakieś śmiecie.

Postać Piłsudskiego jest czystą emanacją dzisiejszych czasów. Zjawila się na tle życia gotowa, ze swemi celami i środkami czynu, ze swoją własną ideą i poezją.

To jest właśnie człowiek, który był konieczny, dlatego, co On czyni, staje się w sposób cudowny.

1 stycznia 1915.

Przyszedeł nowy rok! Nowa kartka w kalendarzu, jakaś tam kreska astronomiczna zmieniona, ale ludzie dalej się mordują i, jak jakieś potworne krwawe krety, ryją ziemię i zasypują dziury trupami. I gdyby nad tym krwawym światem unosiły się tylko hasła i cele zaborcze, życie byłoby ciemne i plugawe. Narody uciśnione mają ten przywilej, że idą na rzeź nie tylko dla swego interesu, ale w imię sprawiedliwości, z ich krwawych czynów mogą powstać lepsze ludzkie stosunki. Dawne i dzisiejsze Legiony szły w imię sprawiedliwości.

18 stycznia.

Odbijają się i tutaj echa sądów o Legionach. Bez względu na entuzjazm i zachwyty, a z drugiej strony pewien krytycyzm i sceptycyzm. Wynika to stąd, że obok pojęcia zbiorowego Legiony i ich żołnierskiego czynu walki o Polskę, są Legioniści, są ludzie ze swemi słabościami, namiętnościami, ambycjami, brakami wychowania, niedomaganiem etycznym, wogóle ludzie żywi, których dyscyplina wojskowa, ani wielkość i powaga idei nie zdołały ująć i podporząd-

kować pod świętość obowiązku polskiego żołnierza. Kto więc gruntuje swoje sądy na jednostkach, składających ich szeregi, ten może być niekiedy zmuszonym do wydania sądu ujemnego, nie będąc wcale przeciwnikiem idei Legionów, nie będąc niechętnym. Przeciwnie, bardzo wysokie poczucie i pojęcie obowiązków i celów Legionów może prowadzić do stawiania im wymagań ponad zwykłą miarę ludzkiego życia i sądzenia tą miarą, sądzenia ujemnego, które jednak nie rzuca cienia na tych, co je formułują, nie poniża ich. Trzeba jednak odrazu kategorycznie powiedzieć, że lekkomyślne, a niekiedy bezmyślne oddawanie się płytkiemu sceptycyzmowi, wynikającemu ze złego usposobienia (a czasami złego trawienia), może być i jest często bardzo szkodliwe i zasługuje na potępienie. Takie dzieło jak Legiony staje się tylko w ogniu zapalu, w porywie wiary w siebie, w prawdę swoich przekonań, w bezwzględną wartość celów i środków, takie dzieło jest porywem do czynu, w którym niema wahań, zastanawiań się, rozważań. Iść naprzód, zwyciężać lub ginąć! — to całe przykazanie, cała formuła. I wszystko co podrywa bezwzględną powagę tego przykazania, wszystko co narusza całość duszy, co zatruwa wątpieniem atmosferę zapalu, wszystko to jest szkodliwe — i powinno być tłumione. Dobry wódz nie ogłasza w czasie bitwy jakichś niepomysłnych wieści — on wie, że one zabiłyby ducha żołnierzy, to jest największą siłę, ja-

ką ma wojsko. Zatem niech milczą siewcy płytkich sceptycyzmów i łatwych krytyk.

15 czerwca.

Pasek mówi, że w pewnej bitwie „bili się tak, że ani przedtem ani potem Polaków tak bijących się nie widziałem i nie mogło być inaczej, tak wielką potęgę przeciw sobie mając“. Im większa potęga nieprzyjacielska, tem większe męztwo i dzielność bojowa. Oto tajemnica polskiego żołnierza, czy pod Czarneckim, czy pod Koziętulskim, czy pod Piłsudskim.

6 lipca.

Ludzie małoduszni, ograniczeni, jeszcze nie przejrżeli. Przypuszczam, że ten ich pesymizm polega na niepojmowaniu tego co jest i co stanowi siłę życia narodu, a co jest tylko zewnętrznym materyalnym warunkiem bytu ludzkiego. Im się zawsze zdaje, że życie polskie to są kominy fabryczne, banki, buraki, pszenica, samorząd miejski i t. p. sprawy, ważne zapewne z ogólnoludzkiego punktu widzenia, ale nie stanowiące bynajmniej Polski; że Polskę stanowi duch i czyn polski, dusza, bez której naród niema spójni, nie jest narodem, a Ojczyzna niema granic, staje się zajezdnym domem spekulantów, mówiących po polsku. Norwid pisał, że stolica, gród Polski jest tam „gdzie ostatnia stoi szubienica“. Dziś możemy powiedzieć, że tam gdzie pierwszy stoi Legionista. Szczęśliwa chwila! I choćby ich było jeszcze mniej, są oni istotną siłą Polski, są Polską. Kozi-

tulski ze swymi 120 szwoleżerami więcej zrobił dla Polski, niż wszystkie fabryki, banki, młyny założone przez Lubeckiego, koleje budowane przez Kronenberga, niż wszyscy razem ludzie trzeźwi i realni. Czyn Piłsudskiego jest potężną dźwignią, która wyważyła z bezdni niewoli i upodlenia Polskę.

Cześć jemu i jego żołnierzom!

.....
 Tak pisał Witkiewicz w ostatnich miesiącach życia.

Kiedy w posępne szare dnie powojennej „pracy organicznej“ wpadła Trylogia — jak złoty dźwięk Zygmunrowskiego dzwonu, jak hejnał z wieży Maryackiej, wpadający w targowisko miasta — wiele w niej rzeczy było niezrozumiałych i obcych dla ówczesnego społeczeństwa. Dziś, gdy Trylogia stała się najpoczytniejszą książką w Legionach — jakże zrozumiałe są słowa, z którymi Sobieski zwraca się do Wołodyjowskiego, utyskującego na politykę statystów polskich:

„Ludzi niemasz! — myślałem sobie, — ludzi niemasz prawdziwie tę ojczyznę miłujących! I tak mi było, jakoby mi kto nóż w piersi wbijał. Aż razu pewnego... było to ostatniego dnia w podhajeckim obozie... gdy w was w dwa tysiące posłałem do ataku, na dwadzieścia pięć

tysięcy ordy, a wyście na oczywistą śmierć, na pewne jatki, lecieli z takim okrzykiem i ochotą, jakoby na wesele, przyszło mi nagle na myśl: a owi moi żołnierze? — I Bóg w jednej chwili zdjął kamień z serca i w oczach stało mi się jasno. Ci — rzekłem — z czystej miłości dla matki tam giną, — ci nie pójdą do związków ani do zdrajców; z nich utworzę święte bractwo, z nich utworzę szkołę, w której młode pokolenia uczyć się będą. Ich przykład, ich kompania podziała; przez nich ten naród nieszczęsny się odrodzi, prywaty próżen, swawoli niepomny, i stanie jakolew, okrutną moc w członkach czujący i świat zadziwi! Takie to bractwo z moich żołnierzy uczynię!“

Żołnierskiego typu trzeba Polsce. Stanisław August, ten prototyp warszawskiego pozytywisty, który sądził, że oświeceniem i dobrobytem, kulturą i sztuką, może utrzymać się naród bez wojska — sam podciął tem samym korzenie władzy polskiej — i ściany izby się rozpadły. — Jak choroba jest niewolą jednostki, tak niewola stała się chorobą narodu. Panoszyć się zaczęły małe myśli, rezygnacya wo-

bec tego co „sądzone“ — i polacy, według słów Witkiewicza:

zrzekli się samodzielnego kierowania swemi losami.

Rozmowa Sułkowskiego z Gintułem, ten świetny dyalog wojny i pokojowej pracy, nie skończył się w Popiołach. Snuje się wciąż poprzez polskie dusze, załamując się w każdej niemal jednostce. Lecz, gdy minęły czasy spokojne „snów o potędze“ i „snów o szpadzie“, a nadszedł czas potężnego ujęcia szpady w garść — warto posłuchać mądrej rady Witkiewiczowskiego Jędrka Cajki, — mającej zresztą zastosowanie w każdej dziedzinie życia:

kaby ino nie cekali, kaby nie cekali jaze zwypalujom ocy!“

A choć polskiego żołnierza kęsają nietylko karabinowe kulki i drobna, nikczemna „gawiedź“ Gandary — choć kęsają go również artykuły partyjnych pismaków po gazetkach, — żołnierz polski stoi ponad partiami w Polsce, — jak ponad partiami żył i walczył Stanisław Witkiewicz.

Dla wszystkich, co naprawdę stoją ponad partiami w Polsce, dla tych, co sobie drwią z tytułów, patentów i wielolicznych etykiet, którymi wzajemnie oblepiają się ludzie, — dla kogo pojęcie „godności“ nie pokrywa się bynajmniej wypełnieniem odpowiedniej rubryki meldunkowej — dla wszystkich, co walczą przeciwko krzywdom świata, dla bojow-

ników o wolność — nazwisko Witkiewicza pozosta-
nie jasnym sztandarem.

Biografię tego człowieka możnaby ująć w po-
tężny rytm poloneza o akordach bohaterskiego
As-dur Chopina. Brzmiałyby w nim przedpowsta-
niowe pieśni po kościołach na Żmudzi, szum pow-
stańczego lasu, szczęk łańcuchów w sybirskiej ka-
tordze, rozgwar wielkich miast i głosy polskiej wsi,
cisza Tatr i loskot halnego wichru, i błękitny spokój
południowego morza, — a nad wszystkim domino-
wałby jeden ton: melodyi MAZURKA DĄBROW-
SKIEGO.

BIBLIOGRAFIA PISM STANISŁAWA WITKIEWICZA

⟨UR. W POSZAWSZU NA ŻMUDZI 8 MAJA 1851 R.
ZM. W LOVRANIE 5 WRZEŚNIA 1915 R.)

Sztuka i krytyka u nas (1884—1890). Przedmowa ***. — *Krytyka*: Malarstwo i krytyka u nas. — *Sztuka*: Mickiewicz, jako kolorysta. — „Największy“ obraz Matejki. — Wystawa sztuki w Krakowie: I. Szkoła krakowska. II. Portrety. III. Henryk Siemiradzki. Fryne. — Józef Chelmoński. Trwale nieporozumienie. — Przegląd artystyczny: I. Obraz Brożika. II Obraz Munkaczego. III. Piechowski, Matejko, Szymanowski. IV. Lesser, Brożik, Wertheimer. V. Obrazy Girona. — Wystawy konkursowe. — Na wystawę paryską. — Juliusz Kossak. — Stanisław Chlebowski. — Maniera. — Aleksander Gierymski. — Obrazy Brandta. E. Meissonier. — Arnold Böcklin. — Krakowskie sądy. — Pomnik Mickiewicza. — Samobójstwo talentu. — Konkurs rzeźbiarski. — *Polemika osobista*: Profesorowi Struvemu. — „W imię godności“ (?) — Z powodu konkursu rzeźbiarskiego. Str. XVI i 530. 8-ka. Warszawa 1891. Nakł. T. Paprockiego i Ski. (Wyczerpane).

Na przełęczy. Wrażenia i obrazy z Tatr. Z drzeworytami. Str. 254. Folio. Warszawa. 1891. Nakł. Gebethnera i Wolffa. (Wyczerpane).

Sztuka i krytyka u nas. (1884—1898). Wydanie III. Do wyd. I-ego dodane: Przedmowa** (1898). — Im-

presyonizm (1892). — Jeszcze o krytyce (ks. M. Morawski i St. hr. Tarnowski) (1898). — List do ścisłego Komitetu pomnika Mickiewicza (1895). — Z wystawy sztuki w Berlinie 1891 r. — Styl zakopiański (1891 i 1898). Str. XXXI i 708. 8-ka. Lwów 1899. Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, S. Sadowski, Poznań, A. Cybulski. (Wyczerpane).

Sztuka i życie. „Życie“, czasopismo ilustrowane, Nr. 1. Str. 23—26. Kraków. 1900.

Juliusz Kossak. Stron 211. Folio. 260 rysunków w tekście. 8 światłodruków. 6 facsimili kolorowych z akwarel. Portrety podług L. Wyczółkowskiego i S. Witkiewicza. Warszawa. 1900. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Ska. (Wyczerpane).

Policja a sztuka. Odpowiedź na ankietę „Krytyki“ w sprawie skonfiskowania „Legend“ A. Niemojewskiego. „Krytyka“, miesięcznik, zesz. IV. Stron 275—280. Kraków. 1902.

Bagno. Str. 80. 8-ka mała. Lwów. 1903. Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, S. Sadowski. Druk W. L. Anczyca i Ski w Krakowie. (Wyczerpane).

Jacek Malczewski. Fragment z rękopisu, przeznaczonego do wydawnictwa „La Pologne contemporaine“ p. t. „Sztuka Polska“ (1901). „Krytyka“, miesięcznik, zesz. II. Str. 105—113. Kraków. 1903.

Aleksander Gierymski. Str. 191. 8-ka. Lwów. 1903. Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, S. Sadowski. Druk W. L. Anczyca i Ski w Krakowie. (kor. 2).

Dziwny człowiek. (Józef Siedlecki). Z portretem Józefa Siedleckiego. Str. 114. 8-ka. Lwów. 1903. Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, S. Sadowski. Druk W. L. Anczyca i Ski w Krakowie (Kor. 1).

Jan Matejko. Str. 73. 8-ka. Kraków. 1903. Nakł. Tow. Bratniej Pomocy Uczniów Akad. Sztuk Pięknych. Skład główny: G. Gebethner i Ska w Krakowie. Drukarnia Związkowa w Krakowie. Cały dochód z wydawnictwa przeznaczony na budowę pomnika Jana Matejki w Krakowie. (Kor. 1.20).

Styl zakopiański. Zeszyt I. Pokój jadalny. Str. 16. Folio. 26 tablic według rysunków: Stanisława Barabasa, Wojciecha Brzegi, Wiktora Gosienieckiego, Stanisława Witkiewicza. Lwów. 1904. Nakł. H. Altenberga. Warszawa E. Wende i Ska. (Kor. 9).

O pomnik Józefa Wybickiego. Str. 4. „Odrodzenie“, miesięcznik, zeszyt V. Lwów. 1904.

Chrześcijaństwo i katechizm. O nauce religii w szkołach galicyjskich. Część I. „Reforma szkolna“, kwartalnik, t. I. Str. 22—37. 8-ka. Kraków. 1904.

Wezwanie. (W listopadzie 1905 r.). Str. 1. Kraków. 1905. Nakł. Stanisława Witkiewicza. Druk W. L. Anczyca i Ski.

Juliusz Kossak. Wyd. II., powiększone, bez ilustracyi. Str. 288. 8-ka. Lwów. 1906. Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i Ska. (Kor. 3.60).

Na przełęczy. Wrażenia i obrazy z Tatr. Wyd. II., powiększone, bez ilustracyi. 8-ka. I. Po latach. (1905).

II. Tatry w śniegu. (1886). III. Na przełęczy. Stron 142+17+294. Lwów. 1906. Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i Ska. (Kor. 4.80).

Z *Tatr*. Na umarcie (1891). — Lew Tołstoj: Cem ludzie zyjom (tłóm. z rosyjskiego) (1892—1907). — Opowiadanie Sabaly (1894). — Ociec Nędza (1898). — Wojtek Gandara (1901 i 1907). — Kwiatki Świętego Franciska (tłóm. z włoskiego) (1904, 1905 i 1907). — Jędrak Cajka (1907). — Zośka Galicka (1907). Str. 258. 8-ka. Lwów 1907. Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i Ska. (Kor. 3.20).

Rozdział IV z książki o Matejce. Str. 10. „Krytyka“, miesięcznik, zeszyt VII i VIII. Kraków. 1908.

Matejko. Str. 273. 8-ka duża. 275 ilustracyi. Lwów. 1908. Nakł. Tow. Nauczycieli Szkół wyższych, wydawnictwo „Nauka i Sztuka“ pod red. Tadeusza Piniego (t. IX). Warszawa, E. Wende i Ska. Druk W. L. Anczyca i Ski w Krakowie. (Wyczerpane).

Tekst do reprodukcji, umieszczonych w wydawnictwie „Sztuka Polska“: „Malarstwo“. Lwów. 1909. Folio. Nakł. H. Altenberga. Warszawa, skład w księgarni E. Wende i Ska. Zeszyt I: Juliusz Kossak: Przeprowadzenie rotmistrza pancernego przez Dniestr. Zeszyt IV: Józef Chelmoński: Na folwarku. Zeszyt VI: Wojciech Gerson: Kościół. Zeszyt VII: Jacek Malczewski: W chacie. Zeszyt XI: Jan Matejko: Hołd pruski.

Styl zakopiański: Zeszyt II. Ciesielstwo (Dom). Str. 16. Folio. 20 tablic: Zygmunta Dobrowolskiego,

Eugeniusza Wesołowskiego, Stanisława Witkiewicza. Lwów 1911. Nakł. H. Altenberga. (Kor. 9).

Juliusz Kossak. Wyd. II, rozszerzone. Str. 214. 36×27, 260 rysunków w tekście, 8 intagliodruków, 6 fascimili kolorowych z akwarel. Portrety podług L. Wyczółkowskiego i St. Witkiewicza. Warszawa. 1912. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Ska. (Kor. 30).

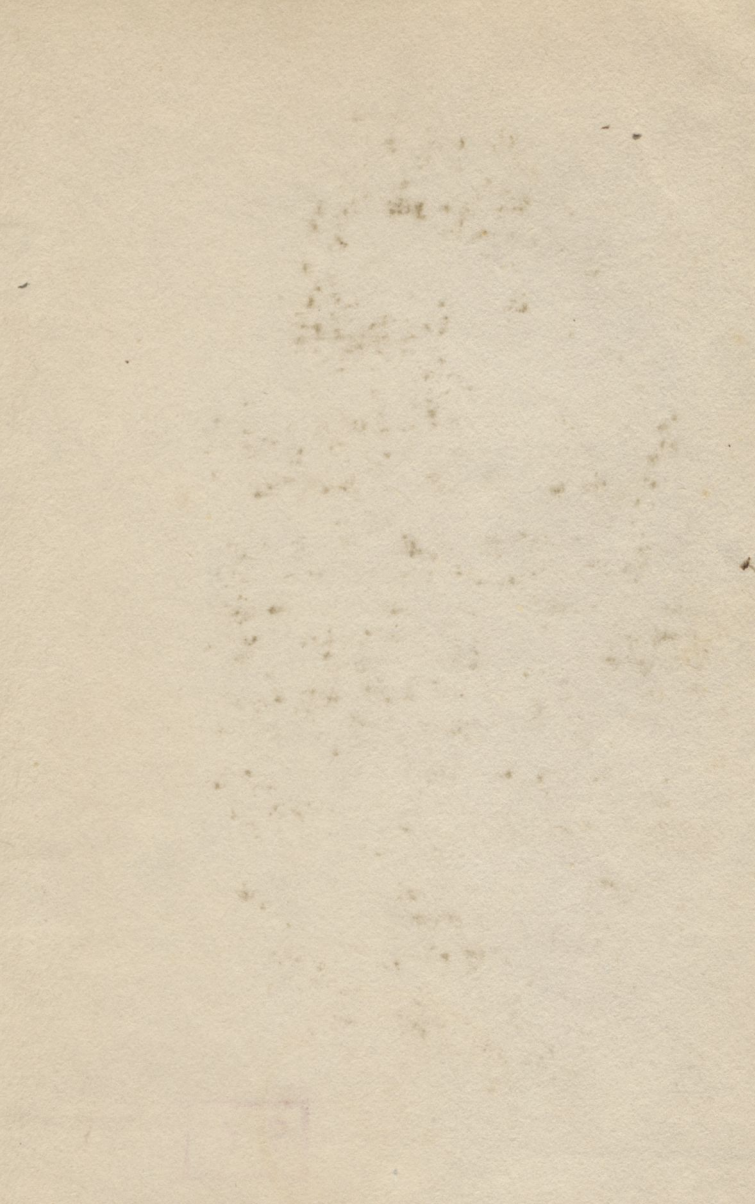
Chrześcijaństwo i katechizm. O nauce religii w szkołach galicyjskich. Część II: „Reforma Szkolna“, kwartalnik, t. II. Str. 3—27. 8-ka. Kraków. 1913.

Matejko. Wyd. II-gie, powiększone. Str. 301. 25×17. 300 ilustracyi. Lwów. 1912. Nakł. Tow. Nauczycieli Szkół wyższych, wydawnictwo „Nauka i Sztuka“ pod red. Tadeusza Piniego (t. IX). Skład główny w księgarni Gubrynowicza i Syna. Warszawa, Gebethner i Wolff. Druk W. L. Anczyca i Ski w Krakowie. (Kor. 15).

Wyjątki z listów do siostry z Lovrany. „Wiadomości Polskie“ Nry: 14, 15, 16, 24, 25, 43, 50. Cieszyn-Piotrków. 1914—1915.

Wyjątki z listów do siostry. Sierpień 1914—sierpień 1915. („Ostatnie słowa“). Str. 67. 8-ka. Piotrków. 1916. Wydawnictwo „Wiadomości polskich“. (Kor. 1.50).





S. 61





POLITECHNIKA KRAKOWSKA
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

L. inw. 41737

Kdn. Zam. 480/55 20.000

Politechnika Krakowska
Biblioteka Główna



100000055273